

naL O T



BUM!

8.P.
09.03.14

Adam Cebula "Coś na ciężkie czasy, czyli globalna wiocha"

Fahrenheit Crew

Podobno pisarze pomagają zrozumieć czasy. Wiele razy to słyszałem i w młodości zachodziłem w głowę: a co tu do zrozumienia? Dopiero po latach zaczyna mi świtać. Ja, dziecko bardzo szczególnych czasów, rzeczywiście miałem większość spraw wyłożonych z powalającą prostotą i od razu dobrze. Żyłem w okresie, gdy podstawowe problemy ludzkości były w sumie proste i prowadziły do ogólnej konkluzji: że ściema nie popłaca.

Czasy były nieskomplikowane – dwa obozy polityczne, zagrożenie atomowe i zagwozdka: jak się pozbyć arsenału, który narósł na skutek ochoty zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Ktoś, kto oglądał filmy szkoleniowe z tamtego okresu, na których uczono, jak się zachować na wypadek ataku jądrowego, może coś z tego zrozumieć. W centrum zainteresowania były sprawy czysto fizyczne – ot, choćby czynniki rażenia, a to fala uderzeniowa, a to promieniowanie cieplne, przenikliwe, impuls elektromagnetyczny.

Codziennością tamtych czasów była bryndza, elementem bryndzy były braki. Jeśli nawet jakiś zakład produkcji garnków wydolił z wyprodukowaniem takiej liczby naczyń, że powinna starczyć na zapas dla całej ludności kraju, owe garnki gdzieś tajemniczo się zapodziały, a jeśli już docierały do sklepów, to nawis inflacyjny załatwiał nadwyżkę produkcyjną w pięć minut. Czasy były niefinezyjne, bo ludzie chcieli mieć towary, i przedmiotem ich zainteresowania była produkcja. Zastanawialiśmy się nad tym, co rzeczywiście było: a to nad liczbą głowic jądrowych, a to nad garnkami czy telewizorami.

Fizyczność naszych problemów była, powiedzmy sobie szczerze, w porównaniu do czasów dzisiejszych, po prostu przytłaczająca. Wystarczy zdemontować pewną liczbę głowic jądrowych, robi się lepiej, wystarczy by było jeszcze więcej garnków, także lepiej. Uświadommy sobie: facet urodzony w tamtych czasach nie miał specjalnie czego rozumieć, gdyby go zapytano o świat. Było prosto: więcej butów i zboża, mniej czołgów i rakiet. Czegóż tu chcieć od pisarzy?

No i się porobiło. Runęła komuna, przyszło nowe stare, czyli kapitalizm. Jak napisał jakiś publicysta w Gazecie Wyborczej, nie zamawialiśmy tak w szczególności kapitalizmu. Jednak z powodu, że chyba nie było lepszego pomysłu...

Problem w tym, że przyszedł kapitalizm schyłkowy. Coś... Nie kapitalizm, ale coś. Mówimy „kapitalizm” z braku lepszego, adekwatnego określenia – bo różnymi słowami chrzcimy ostatnimi czasy byty zmyślane, niekoniecznie istniejące, niekoniecznie zgodnie z właściwym znaczeniem słowa. To, co mamy, ostatnio nazywa się na przykład kapitalizmem kasynowym.

Naszą dzisiejszą codziennością jest tak zwany KRYZYS. Bolesne tym bardziej, że – jak się zdawało – tak długo tak dobrze żarło, i zdechło zupełnie niespodziewanie i nagle. Z dnia na dzień znaleźliśmy się w świecie, w którym przestały obowiązywać dotychczasowe, przyjazne nam reguły. Z dnia na dzień działania, które do tej pory przynosiły nam korzyści, przestały być skuteczne. Zaskoczeni ludzie kombinują, co zrobić, próbują coś wymyślić, z każdego kąta wyziera żal do rzeczywistości: przecież to miało być takie piękne, fundusze emerytalne miały przynosić wspaniałe emerytury, inwestycje giełdowe miały dawać kasę rentierom... Przecież zrobiliśmy, jak od nas chcieli, sprywatyzowaliśmy, urynkowiliśmy, zrobiliśmy KAPITALIZM.

Zwykły kapitalizm to fabryka, fabrykant i towar. Fabrykant kombinuje, co by tu ludziom sprzedać – a ludzie dobrze się zastanawiają, nim coś kupią. Z tego powodu fabrykant, choćby chciał wcisnąć byle co, musi się ostro nagłówkować, co fabrykować. Tym bardziej, że kapitalizm rynkowy w domyśle wymaga, by było bardzo wielu producentów tego samego towaru. I bardzo wielu kupców. Jeśli producent coś sknoci, to klienci przeniosą się do innego producenta. Ale też zawsze będzie miał szansę: może obniżyć cenę i ponieważ mamy wielu kupców, to znajdą się tacy, co gorszy towar kupią za mniejsze pieniądze.

Na rynku o takich własnościach procesy nie zachodzą katastroficznie. One przebiegają spokojnie, coś idzie w dół lub w górę, i co najważniejsze – reaguje na nasze działanie. Sprzedaż spada, obniżamy cenę, sprzedaż rośnie. Podnosimy jakość towaru, możemy podnieść jego cenę, sprzedaż pozostanie na tym samym poziomie. W tym świecie nie ma towarów bezwartościowych: nikt ich nie kupił, produkcja została zastopowana na starcie.

Ależ oczywiście: takiego świata nie ma. To świat idealistyczny. W naszym świecie dzieją się rzeczy dziwne i niesamowite. Oto na przykład ktoś wpada na pomysł, by sprzedawać *Dobre Rady Cioci Klementyny*. Oczywiście, wolny rynek zapewnia mu to, że może to robić – cokolwiek za tą nazwą się kryje. Bo na myśli mamy świat idealny, w którym ludzie bardzo uważają, co kupują. W tym świecie oczywiście towar bezwartościowy zostanie wyrzucony z rynku. Więc dokonujemy takiego rozumowania: skoro towar jest na rynku, to zgodnie z regułami idealnego świata jest potrzebny i wartościowy. Także w naszym realnym i pokręconym świecie. Odwrócenie implikacji, klasyczny błąd z punktu widzenia logiki.

Ależ oczywiście, handluje się z powodzeniem nie tylko rzeczami zupełnie pozbawionymi wartości, ale szkodliwymi – wódką, papierosami, innymi używkami, oferuje się usługi hazardowe. Pomysł, że jeśli coś jest na rynku, jest przez ten rynek zweryfikowane, nawet w przybliżeniu nie pasuje do naszych czasów. Tylko część takich dinozaurów, jak autor niniejszego tekstu, zastanawia się nad tak zwaną wartością użytkową. Niniejszym przyznaję się zresztą do popełniania wielu błędów w nabywaniu i ogłaszam, że nawet dość spore doświadczenie, jako testera sprzętu, nie chroni przed nimi. W starciu między konsumentem a producentem na oszukiwanie i wykrywanie ściemy konsument jest właściwie na straconej pozycji – wiele cech towarów jest przez niego nie do sprawdzenia, albo sprawdzenie wymaga wielkiego wysiłku. Mamy więc banalny wniosek: handluje się rzeczami o coraz bardziej wątpliwej wartości.

Papiery wartościowe – w szeroko pojętym rozumieniu – są dobrym przykładem tego, co klasyfikuje się jako towar i szkodliwy, i często wręcz niebezpieczny dla każdego, kto ma z nim do czynienia. Jest stara zasada Kopernika oraz pewnego angielskiego notabla, że pieniądź gorszy wypiera pieniądź lepszy. Dziś ta zasada jest podawana inaczej: towar gorszy wypiera towar lepszy. Im gorszy towar, tym więcej jest go w obrocie. "Tak wychodzi", że wysokie obroty notują papiery dłużne dłużników, którzy nie tylko nie mają szansy spłacić zobowiązań, ale już w ogóle nie istnieją. Bardzo chętnie obraca się papierami będącymi zakładami, że jak waluta pójdzie górę – to coś. Te papiery, które nie istnieją w formie papierowej, a są jedynie stanami namagnesowania dysków twardych, potrafiły niektórym krajom, jak np USA, bodaj w 2008 roku przynieść dochód koło połowy PKB – w tym konkretnym wypadku 48%. Przy czym za 2008 nie ręczę.

Producentem tego nieistniejącego towaru są tak zwane instytucje finansowe. O ile zatem dochodzi do obrotu nim, to bank centralny musi dodrukować pieniądza, bo inaczej dojdzie do deflacji. Sprawa prosta: jeśli X chce od Y-ka coś kupić, to musi ściągnąć do własnej kieszeni gotówkę. Jeśli ma nadzieję to coś później sprzedać Z-towi, Z też będzie musiał mieć gotówkę w kieszeni. Towar "zaadsorbował" pewną część pieniędzy. Jeśli to jest kwota rzędu połowy pieniędzy na rynku, to w innych miejscach tej kasy musi brakować. Stosunek ilości pieniądza do towaru został zakłócony: chleb i koszula muszą mniej kosztować.

Dlaczego występowanie deflacji jest tragiczną sytuacją? To kolejny rozdział klasycznej ekonomii. Przyjmijmy jednak, że nie jest to dobre zjawisko, choćby dlatego, że fabrykant musi obniżyć cenę towaru, by go sprzedać. Na skutek dynamiki procesów obniża się produkcja – podobnie, jak niewielka inflacja raczej sprzyja rozwojowi produkcji. Wszelako w naszych rozważaniach to są już zbyt finezyjne dywagacje. Zauważmy, że gdy grupa finansowa wypuści na rynek taki lewy towar z napisem *Obietnica Ze Producent Dobrych Rad Cioci Klementyny Da Nowe Dobre Niewątpliwie Rady*, gdy ów towar znajdzie się w realnym obrocie, wówczas na przykład Bank Centralny może dodrukować jakiejś salaty i wypuścić ją na rynek. Na przykład kupić za nią ropę od Arabów (zagwozdka – jakże tu się poprawnie politycznie wypowiedzieć o mieszkańcach terenów będących kolebką cywilizacji? Arab tak po prostu, zgroza!)

Otóż produkcja takiego lewego towaru jest cudowna z punktu widzenia polityka, bo daje mu władzę kreowania pieniądza, który choć w istocie jest pusty, to dobrze ukrywa swą prawdziwą naturę. O ile nasza waluta krąży po całym świecie – zawsze znajdzie się głupi, co kupi. Póki część kasy jest przyklejona do papierów wartościowych, nie będzie tego, co jest zwykle konsekwencją drukowania pieniądza, czyli inflacji.

Co jakiś czas ludziska jednak łapią się na tym, że inni też się połapali, że w te papiery, w które oni sami nie wierzą, nie wierzy już nikt – i to są właśnie kryzysy. Od pierwszego krachu handlu cebulkami tulipanów zawsze takie same.

Zacząłem od tego, że powinnością literatury jest tłumaczenie świata. Chyba jednak nie jest, aliści pismak, który świata nie rozumie, ma przy pisaniu dużo gorzej. Lepiej smarować tekst z pełną świadomością, że pisze się tylko o "świecie przedstawionym", w którym na przykład rynek jest nieskończony, konkurencja doskonała (to się daje przedstawić w postaci warunków nakładanych na równania różniczkowe, którymi chcemy opisywać dynamikę naszego świata), że konsumenci są w stanie odróżnić towar dobry od szmelcu, a producenci nie mają nadziei, że ktokolwiek da się na handel szmelcem nabrać. Pismak musi mieć jednak świadomość, że nie wolno mu przedstawić ani idealnej miłości, ani przyjaźni, że tak samo kiczowaty, jak nieskazitelny bohater, jest rynek doskonały. Pismak powinien też ludziom wytłumaczyć, że mają problemy ze zrozumieniem świata, i ich kłopoty z otoczeniem wynikają właśnie z tego. Jak się taka sztuka uda, to książka ma wartości, często uniwersalne. Jakoś tak to jest.

Pytanie tylko, czy ludzie chcą coś ze świata zrozumieć? Czy aby rzeczywiście jest im to do czegośkolwiek potrzebne? Czy czasami nie jest tak, że wypowiedzenie prawdy im zagrazi? Powiedzmy, że ktoś prowadzi demonstrację przeciw elektrowniom nuklearnym, prowadzi i jednocześnie myśli. I już ludzi doprowadził na miejsce, gdzie ma być radosna zadyma, a on tym ludziom mówi, że kurna, sensu nie ma protestować przeciw atomowi, bo w najgorszych katastrofach zginęło tak naprawdę po kilka osób, łącznie z Czarnobyłem, zaś w katastrofie tamy iluś tam przełomów w Chinach poszkodowanych bezpośrednio było 11 milionów ludzi – a co najmniej 25 tysięcy się utopiło, i ponad 100 tysięcy zmarło na skutek epidemii na terenach zniszczonych powodzią. Tak mówi facet, który przyprowadził tłum żądny zadymy antyatomowej: jak uniknie spuszczenia mu przez współwyznawców łomotu?

Lepiej się wciska ciemnotę, gdy się nie ma przekonania do prawdy. Jakoś tak to działa. Wszelako – można nie wciskać tej ciemnoty. Istnieje niejasne przekonanie, że prawda wyzwala, czy coś temu podobnego. Poeta już zmarł...

Zdumiało mnie, z jaką pasją ludzie ruszyli do przekonywania siebie i innych, że kryzys, z jakim mamy do czynienia, jest wynikiem socjalistycznego oblicza najbardziej kapitalistycznej gospodarki świata. Czyli USA. Argumentacja, że to przez działające na prawach rynkowych instytucje, które udzielały kredytów będących pomocą społeczną, jest mniej więcej tak dobra, jak próba udowodnienia, że

właściciel kota powinien łapać myszy, bo ma kota. Pasja udowadniania, że czarne jest białe, czy jak to się tam w sejmie gada, jest godna znacznie lepszych rzeczy. Aliści ma swe źródło w tym, żeśmy sami przyprowadzili tych ekologów na zadymę, i jak zaczniemy gadać, że bez sensu, to nam kości połamią. Nie ma wyjścia.

Prosta konkluzja dotycząca obecnego stanu rzeczy na świecie nie jest zbyt optymistyczna: jest bardzo typowo. Jak zwykle w historii. Wytworzyła się klasa posiadaczy, która łupi resztę pod różnymi ideologicznymi hasłami. Ściemnia, że mamy wolność, równość i braterstwo, ale w rzeczywistości jest gra w oczko – jeśli masz kasę, średnio rzecz biorąc wygrywasz. Jak zwykle: ludziska zajęli się spekulowaniem, oszukiwaniem i wywindowali zasadę przewagi spekulacji nad resztą ludzkiej działalności do rangi cnoty. Jak zwykle – niektórzy się dochrapali, i uważają, że należy im się chrapać dalej.

Inną z konkluzji jest to, że kapitalizm, który w naszych oczach zawsze kojarzył się z fabrykantem, poszedł do lamusa. Ileż to razy powtarzano hasło, że produkcja, czyli fabryki i zajmujący się nią fabrykanci, jest NIEWAŻNA? Że chodzi tylko o handlowanie?

Nie zamierzam tłumaczyć detalicznie, jak to wszystko jest. Sedno w tym, że jest inaczej. Nie tak jak w niebie, nie tak jak w wyobrażeniach o kapitalizmie. Sknociło się. Coś mi się zdaje, że mamy o wiele większy problem od tego, co nam w gazetach piszą.

Polega on na tym, że system gospodarki towarowo-pieniężnej zaczął działać, bagatela, przeciw fabrykom i fabrykantom. Być może nawet dojechalśmy do takiego momentu rozwoju cywilizacji, że czas zacząć myśleć o zmianie systemu sterowania gospodarką.

Owszem, można, jak się to czasami robi, rzecz sformułować w terminologii prawicowo-poprawnej: "o naprawę kapitalizmu". Dobrze to brzmi, ale tak naprawdę wszelkie ideologiczne podejście jest nieszczęściem. Ideologia opisuje światy nieistniejące, gdzie mamy albo człowieka o idealnie socjalistycznej moralności, albo konsumenta, który przynajmniej nie da się nabrać na lewe papiery na giełdzie. Każda ideologia, przez opisywanie sytuacji idealnych, tak naprawdę tworzy bardzo uproszczone modele rzeczywistości, które w swej istocie służą nie temu, by za ich pomocą przewidywać, ale by się dobrze zaprezentowały na wiecu poświęconym zagrożeniom niesionym przez elektrownie atomowe.

Model kapitalizmu nie za bardzo uwzględnia postęp. Obawiam się, że to, o czym myślą ideologiczni zwolennicy – nazwijmy to – liberalnego kapitalizmu, a co jest postępem naukowo-technicznym, to praktyka wedle Lenina. A praktyka nie jest zaplanowanym procesem badawczym, nie uwzględnia się w niej tworzenia wiedzy „czystej”. To nie jest poznanie systematyczne, to efekt przypadkowych doświadczeń zebranych podczas prób zrobienia czegoś, krzesła czy roweru.

Coś mi się tak widzi, że jest tu punkt styku obydwu spojrzeń na świat. Mam też wrażenie, że bardzo podobne jest podejście obu ideologii do człowieka. Jeden i drugi system "aproksymuje" go i zakłada, że owa aproksymacja, w istocie dramatyczne uproszczenie, jest wystarczająca do opisu zachowania się ludzi i wygenerowanego przez to zachowanie świata.

Jeden i drugi system marginalizuje zjawiska, których nie da się pominąć, a diablo przeszkadzają w obrazie, który chcemy stworzyć. Komunistom wadziła skłonność przeciętnego człowieka do indywidualizmu, do posiadania wolności, niestety gospodarczej. Prywatna inicjatywa niszczyła socjalistyczny handel i produkcję, bo zostawiała o lata świetlne efektywnością w tyle państwowe interesy. Niestety, w kapitalizmie kilka rzeczy wykrzaczyło się z hukiem tylko trochę mniejszym, na przykład prywatyzacja kolei w Anglii za czasów Żelaznej Premier, Margaret Thatcher. Złe działa to, co jest marginesem zainteresowania ekonomistów: badania naukowe.

Modele ekonomiczne niejako siłą rzeczy dotyczą sytuacji, które już były. Nie sposób analizować nawet istniejącej teraz gospodarki, bo nie ma danych, a analiza, gdy już jest gotowa, i tak dotyczy byłego stanu. Może to szokujące, ale proces zrozumienia trwa wiele lat, nawet dziesięcioleci. Dość niedawno nie do pomyślenia wydawała się sytuacja, by w skali świata jeden koncern opanował jakąś dziedzinę. Monopol był z definicji najwyżej problemem lokalnym, ale już z pewnością nie kontynentalnym. Faktycznie jeszcze kilkadziesiąt lat temu Ziemia była za wielka, by jakakolwiek organizacja producentów położyła łapę na całej znaczącej produkcji czegokolwiek. A przynajmniej była dość wielka, by dawało się udawać, że tak nie jest.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu tak zwany postęp naukowo-techniczny odbywał się niejako w dalekim tle zjawisk gospodarczych. Owszem, wybuch bomby atomowej przekonał ludzi, że fizycy potrafią, wcześniej mówił o elektryfikacji Lenin. Ale nie było tego, co mamy dziś: już w latach osiemdziesiątych w cenie na przykład układów scalonych połowa to był koszt opracowania. Nie mieliśmy takiej sytuacji, że produkują maszyny, a ludzie zajmują się projektowaniem. Chyba nie do pomyślenia była dziedzina gospodarki, gdzie nie produkuje się niczego materialnego: pisanie oprogramowania. W takiej dawnej, pozbawionej niewygodnych elementów rzeczywistości, liberalne modele gospodarki jakoś działają, przynajmniej od kryzysu do kryzysu, no i gdy nie uwzględnimy jeszcze jednej dziedziny: szkolnictwa. Szkolnictwo to coś podobnego do kolei – prywatyzacja prowadzi do katastrofy. To się nazywa zakres stosowalności modelu. Owszem, ów model jakiś czas temu miał użyteczny zakres stosowalności, a przynajmniej dawało się coś takiego wypisywać bez wzbudzenia uśmiechu politowania u czytelnika.

Nie wiem, czy nie pierwszym materialnym dowodem – dla mnie, w każdym razie, bardzo znaczącym – psucia się systemu gospodarki towarowo-pieniężnej była historia Linuksa. Pewnie już z dziesiąty raz o tym piszę, ale powtórzę, bowiem rzecz jest bardzo charakterystyczna. Otóż Intel wyprodukował procesor 386, który mógł pracować w tak zwanym trybie chronionym. Dodajmy dla podniesienia napięcia, że zapomniany już 286 też miał taką możliwość, tyle, że trzeba było dolutować jeszcze do płyty głównej "specjalne" układy scalone. Płyta główna do 286 obsługująca taki sposób pracy nigdy nie powstała, przynajmniej nic nie wiadomo o jakiejś znaczącej produkcji. Zaś po ukazaniu się procesora 386, okazało się, że praktycznie nie ma systemu operacyjnego, który by potrafił go obsłużyć.

Programiści oraz użytkownicy sprzętu komputerowego potrzebowali z kolei oprogramowania, które miałyby jedną zasadniczą cechę: otwartość. Chodzi o to, by można było w nim grzebać. Cecha, która z punktu widzenia tak zwanego przeciętnego użytkownika jest wręcz egzotyczna, staje się nieraz bardzo istotna i to na dość elementarnym poziomie. Na przykład każdy, kto miał do czynienia z plikami postscriptowymi (Postscript jest językiem opisu wydruku plików), wie, że istnieje kilka "poziomów" języka i że bywa to przyczyną, że niektóre urządzenia nie rozumieją jakichś poleceń. Jak by to dziwacznie nie wyglądało, bywa, że do rysunku dobieramy się za pomocą edytora tekstowego, coś tam pozmieniamy i rysunek nagle się pojawia, czy to na ekranie, czy na papierze. To, czyli grzebanie, jest możliwe, bo Postscript ma pełną publiczną specyfikację, nie dość, że pliki graficzne są w formie tekstu, to jeszcze jest gdzie doczytać, co zakłęcia znaczą.

Postęp techniczny sprawił, że częścią roboty, tak naprawdę dość rzemieślniczej, stał się wysiłek intelektualny, rozwiązywanie problemów, na przykład informatycznych. Swoją drogą, jeszcze do niedawna było zupełnie oczywiste, że sprzęt musi mieć PEŁNĄ techniczną dokumentację. Tymczasem przekonanie o tym, że jej ukrycie jest elementem skutecznej walki z konkurencją (ależ nie z konkurującymi z nami firmami, drobiazg, ze ZJAWISKIEM konkurencji) doprowadziło do tego, że ukrywanie tej dokumentacji stało się normą. Otóż z tego punktu widzenia nie zdziwi nikogo, że administrator systemu woli mieć dostęp do pełnej wiedzy o oprogramowaniu. To jedyny sposób, by sprawdzić, co się stało, gdy ktoś się do systemu włamie, na przykład.

To także jedyny sposób na to, by sprawdzić jakość produktu, jakość roboty firmy, która ją wykonała. Wbrew pozorom, dostarczanie tylko binarek i ukrywanie kodu źródłowego przede wszystkim służy do ukrywania straszliwych niedoróbek, typu udawania przed użytkownikiem, że plik jest zaszyfrowany, gdy tymczasem wystarczy wczytać go do innego edytora, niż dostarczony przez jedynie słuszną fabrykę, a tekst się ukaże. Nie masz źródła, nie sprawdzisz, czy nie kupiłeś kompletnego bubla...

Tak się zatem stało, że klient potrzebował towaru, który obsługiwałby ów tryb chroniony w procesorze 386 (ach, były uniksy na PC, ale tu by trzeba wejść w kolejną długą dygresję), który by posiadał pełną techniczną dokumentację, lecz nie miał mu kto tego towaru zrobić. No i klient zrobił sobie go sam. Poza systemem gospodarki towarowo-pieniężnej.

Dziwi mnie bardzo, że poza mną jakoś nikt się nad tym faktem nie chce zastanowić. Nawet jeśli to głupota, to przecież smakowicie brzmiąca. Owszem, Linux pojawia się w publicystyce, jako takie trochę dziwne zjawisko. Aliści ekonomiści, a już na pewno publicyści piszący o ekonomii nie rozumiają się (w odróżnieniu od "nie znają" i "nie rozumieją") na produkcji, na tym co jest w tak zwanej realnej gospodarce ważne. Oni piszą o gospodarce wirtualnej, czyli przewalaniu plików zawierających obietnice dobrych rad cici Klementyny. Nie mogą mieć pojęcia o praktycznym znaczeniu wolnego oprogramowania, bo musieliby się narażać na czytanie ahumanistycznych tekstów naładowanych niepokojąco brzmiącymi słówkami, takimi jak *grep* czy *awk*, przy których można się skompromitować brakiem poczucia humoru, jak się zdarzało krytykom Lema przy *awruk*. Trzeba by poczytać dane o procesach pozagiełdowych, nieujętych w bilansach księgowych i niewyraźnych w walutach. Trzeba by wyjść z ramek, w których się dobrze czujemy i bezpiecznie poruszamy. Ci, którzy nie zaryzykują swego czasu, reputacji, ewentualnie bólu głowy nad niezrozumiałymi artykułami, nie wiedzą, że już dawno na wolnym oprogramowaniu siedziała większość serwerów, że taki Apache obsługuje ponad połowę stron internetowych, że gdyby zabrakło produktów powstałych z pomocą ruchu rzekomo komunistycznego – w rozumieniu owych wszelako nie rozumiejących się na produkcji i nawet chwalcących się tym przecież speców od gospodarki – to jak najbardziej kapitalistyczna sieć komputerowa, Internet, padłaby, jak po spaleniu się korka.

Zapewne jest tak, że o ile coś jest zjawiskiem incydentalnym, to nie warto się tym zajmować. Zazwyczaj, gdy trzaska pierwsza belka, mieszkańcy budynku mają nadzieję, że na tym się skończy. Ot, trzasło, pojawiła się dziura w ścianie, trudno. Po prostu mieliśmy budynek cały, a teraz będzie z jedną dziurą. Mamy nadzieję, że dziur więcej nie będzie, ba, mamy pewność, bo przecież chałupa solidna, stała do tej pory, to i dalej powinna. Prawda?

Tkwi w nas głębokie przekonanie, że remontować nie potrzeba. Głębokie poczucie bezpieczeństwa. Kilka razy o tym już pisałem. Wyrazem tego poczucia bezpieczeństwa była interpretacja książki Francisa Fukuyamy. Książka "The End of History and the Last Man" (za Wikipedią) ma być o tym, że właśnie – jest rok 1989, data wydania eseju, nie książki – doszliśmy do takiego punktu historii, że już nic nie trzeba zmieniać. Nasz system sterowania i społeczeństwem i gospodarką jest idealny w tym sensie, że lepszego nie ma.

Myślę, że istotne jest nie to, co faktycznie Fukuyama napisał, ale to, co tak zwani pisarze uważają, że napisał. A sprowadza się ono właśnie do owego przekonania, że doszliśmy do najlepszego z możliwych rozwiązań społecznych. Dlatego jedną trzaśniętą belką i jedną dziurą w ścianie nie ma się co przejmować: chałupa jeszcze się nie wali.

Linux powstał ledwie kilka lat później. Data udostępnienia pierwszego jądra, 17 września 1991, raczej nie jest do przyjęcia jako data powstania właściwego systemu operacyjnego. Jednakże to dowód na to, że w tym najlepszym z możliwych systemów gospodarczych już wtedy był problem. Kilka razy to powtarzałem: gdyby ten system działał porządnie, psu z kulawą nogą nie chciało by się za darmo ślęczyć przy komputerze. Wiem to po sobie.

Niegdyś skupowałem za psie pieniądze lampy błyskowe w komisie, na przykład za całe 10 złotych zakupiłem radziecką lampę Łucz M1, po czym pracowicie do niej dorobiłem odpowiednią dla mnie końcówkę do kabla wyzwalania, wykonałem fotocelę i układ rozdzielania sygnału. Ostatnio natomiast interesuję się i korzystam z tak zwanych żarówek błyskowych, ale oczywiście kupowanych w sklepie. Taki drobiazg: te żarówki mają fotocelę "w sobie". Nie muszę się martwić podłączaniem kabla, stykami, baterijkami i tak dalej. Przemysł załatwił na cacy moją pasję budowania radiowego sterowania lampą błyskową. Pojawiły się tanie, dobre zestawy. Nie opłaci mi się ślęczyć kilkadziesiąt godzin, by zaoszczędzić dwie stówki.

Tak samo powinno być z systemami operacyjnymi – ktoś powinien zrobić to tanio i dobrze. Są żarówki błyskowe, ostatnimi czasy, chińskie. I jest darmowy system operacyjny, pisany przez tak zwanych wolontariuszy, czyli podejrzany element.

Skandal koncernu Enron to jest rok 2001. Gdzieś wcześniej pękła pierwsza bańka internetowa, lecz do baniek system kapitalizmu kasynowego był już przyzwyczajony. To był już czas ekspansji gospodarki chińskiej. Oni jeszcze żarówek błyskowych nie produkowali, a przynajmniej nie docierały one do Polski, ale szli na potęgę gacie, a także podobno flagi Tybetu, które potem noszono na demonstracjach przeciw Chinom.

Nam zaś ekonomiści od gospodarki wirtualnej powtarzali, że nieważna jest produkcja, ważna jest sprzedaż. Kolportowano oficjalną wersję wydarzeń, że niech sobie Chińczycy szyją, na jednego dolara zainwestowanego w ChRL przypada 2,4 dolara (jakoś tak, cytuję to z pamięci, w każdym razie tam mniej, tu znacznie więcej) zarobionego w USA.

W 2008 roku wyszło na to, że najkapitalistyczniejszy rząd świata prowadził gospodarkę socjalistyczną, czyli pękła dokładnie wedle scenariusza z 24 października 1929 (Czarny Czwartek, za Wikipedią) bania spekulacyjna plików (bez)wartościowych. Tak się jakoś dziwnie składa, że Amerykanie raczej nie dopatrują się socjalistycznych korzeni kryzysu, raczej widzą dokładne kapitalistyczne analogie... No, ale naszym rodzimym ekonomistom wirtualnym do szczęścia potrzebny jest inny obraz świata.

Ekonomistom wirtualnym zapewne całkowicie umknął incydent, który mnie osobiście mocno wystraszył. Kilka lat temu wszyscy znani mi producenci dysków twardych jednocześnie skrócili gwarancje z trzech lat do roku. To nie był kryzys. To była awaria. Jeden z producentów żywcem do hermetyzacji układów scalonych coś sknocił. Producent układów połapał się, jak zrozumiałem, po kilku miesiącach. A producenci twardzieli mieli WSZYSCY od niego ten sam skalak w elektronice. Mam poważne podejrzenia, że był JEDEN producent tej elektroniki. Również skutki powodzi w Tajlandii widać jeszcze, i to dramatycznie, w cennikach sklepów komputerowych. Twardziele poszły ponad dwa razy w górę. Okazało się, że są produkowane nie tylko w jednym kraju, ale prawie w tym samym miejscu. Dla całego świata...

Ach, to tylko komputery, co tam komputery...

Za Gazetą Wyborczą: "W południe ostatniego dnia marca wielka chmura czarnego dymu pokryła niebo nad miasteczkiem Marl w pobliżu Duisburga w zachodnich Niemczech, gdy eksplodował kocioł w zakładach koncernu chemicznego Evo", i dalej: "Według niektórych szacunków zakład w Marl wytwarzał aż 70 proc. całej światowej produkcji CDT." Cokolwiek by to nie było, 70% światowej produkcji - to już brzmi groźnie. Chodzi o coś zwane nylonem-12, stosowane do produkcji przewodów paliwowych i hamulcowych w samochodach oczywiście. Jest problem? Jest...

Jest problem nie wirtualny, ale z gatunku tych, które gnębiły mnie za czasów komuny: trzeba jakoś naprodukować. Ale nie tylko. Nie ma co ściemniać, jeśli 70% światowej produkcji jakiegoś towaru

dostarcza jedna fabryka, to nie ma mowy o żadnej konkurencji. Jest dużo gorzej, to sytuacja bardzo niebezpieczna. Nawet nie chodzi o to, że byle awaria kładzie produkcję na całym świecie. Okazuje się, że mamy "to wszystko" tak poorganizowane, że na przykład wymiana jednego tworzywa na inne grozi procesami sądowymi. Albo że komuś się wydaje, że można podmienić, ale tak na pewno to on nie wie. Trzeba by się znać, ale od myślenia o tym, co z czego się robi, "pardą ma eleganse, łeb mnie od tego napierdala". To cytata z naszej Naczelnej, niestety nie potrafię wymyślić niczego bardziej trafiającego w sedno. Tu, rzekłbym, język tak giętki tak dobrze powiedział, co pomyślała głowa, że ni litery zmienić nie można.

Zacząłem od powinności literatury wobec świata. Że literaci powinni pomagać zrozumieć czasy. Otóż chyba poniekąd jestem – nie, że literatem, lecz, jak to się mówi, szczególnie predysponowany do wyrażenia pewnej opinii. By nie popaść w zbyt kolokwialny styl, wyrażę to tak: ruralistyczne fundamenty mej osobistej kultury mnie upoważniają. To oczywiście brawura w świecie autorytetów, lecz tym razem malownicze elementy stroju, wykonane na bazie łodyg *Avena sativa*, cokolwiek figlarnie wyglądające z butów, są argumentem, by zabrać głos. Dlaczegoż to, ach, dlaczegoż mamy, co mamy, dlaczegoż to bezrobocie, kryzys tu i tam, że nie wspomnieć o pioruńsko drogich twardzielach i przewodach hamulcowych? Bo stan organizacji gospodarki jest na poziomie wiochy. Może i globalnej, ale wiochy. Co mogę powiedzieć, bom dziecko wsi Przedborowa. Jest jeden kowal, młynarz, piekarnia czynna do czwartej, sklep. W sklepie "jest co jest", możesz chcieć łańcuch, wiadro ocynk, jak rzucą. Z piekarzem trzeba się dogadać, jak się wesele albo pierwszą komunię wydaje, coby więcej napiekl. Jeśli chcesz coś ekskluzywniejszego od chleba, to jak ci od Linuksa, musisz sobie zrobić sam. Jak sklepowej koza uciekła, to sklep zamknięty, bo przecie kozę znaleźć trza. Każdy rozumi(e). Rzecz w tym, że we wsi Przedborowa nie było ani jednej osoby, która by nie wiedziała, że to, jak jest, jest znacznie gorsze niż w Ząbkowicach czy w Dzierżoniowie. Każdy się cieszył, jak u góry wsi powstał kiosk spożywczy.

We wsi Przedborowa nie znałem nikogo, kto by wygadywał, że produkcja jest nieważna. Wszyscy wiedzieli, że jak już w polu urośnie, to się coś z tym robi. W najgorszych czasach problem nie polegał na tym, że punkty skupu nie przyjmowały zboża, ale na tym, że za droga była jego produkcja.

Objawów tego, że sknocono produkowanie, jest więcej. Kilka razy pisałem o parciu firm samochodowych do produkcji aut na baterijki. Nie ma to żadnego sensu ani technicznego, ani ekonomicznego. Tworzy na dodatek bardzo kłopotliwe uzależnienie od ChRL, która ma praktycznie wszystkie działające kopalnie pierwiastków ziem rzadkich, niezbędnych do tych baterijek. A dlaczego to parcie? Bo niczego lepszego koncerny nie potrafią robić. To, moim zdaniem, jedyne wyjaśnienie. Choć lepsze jest w zasięgu ręki: dużo, dużo lepsze. Nie wiem, na ile wiarygodna jest deklaracja pewnego polskiego rzemieślnika, ale jest taki, który się ogłasza, że przerobi każde auto na baterijki. Więc finezja przedsięwzięcia jest na tym poziomie. Rzemieślnika.

Był taki czas w peerelu, że wynoszono z fabryk części, wbrew pozorom wcale nie drogą kradzieży, często drogą kupna elementów niepełnowartościowych, i z nich składano już to pralki, już to samochody. Wychodziło na to, że chałupnicza produkcja była kilka razy bardziej wydajna od tej na taśmie. Skojarzenia się same nasuwają. W literaturze opisem takich dziejów zajmuje się gatunek zwany epopeją, typowy przedstawiciel to Iliada, chodzi o to, że zaraz wleżą jacyś Achajowie i spalą.

Co się na tym świecie stało? Banał: lenistwo. Pomysł, że mamy najlepszy z możliwych systemów zrodził pomysł, że nie trzeba się starać. Nie musimy przewidywać skutków swoich przekrętów, bo system sam powinien wszystko wyprostować. Robić się nie chce, wywozimy fabryki tam gdzie się jeszcze chce. Innowacyjność? Mamy najlepszy możliwy ustrój... "ponatykaj w okna gnoju i jedz chleb w spokoju". To też ze wsi. Nauka? Ciężkie zajęcie, ani uczniom, ani nauczycielom się nie chce uczyć. Po co sobie zbytnim myśleniem głowy psować? Tak, za Kochanowskim. To jest prawdziwy kierunek reform programów i systemu szkolnictwa. Nie jakaś likwidacja „przyswajania encyklopedycznej

wiedzy”, tylko ograniczenie kłopotliwej, wyjątkowo nieprzyjemnej i dla uczniów i dla ich rodziców, którzy przecież są wyborcami, działalności – zwanej nauczaniem. To o to chodzi, gdy zamieniamy podręczniki, gdy zamiast uczciwego odpytywania są testy. Im mniej wymagamy do nauczania, tym mniej od nauczyciela. Spodziewamy się, że mniej zapłacimy jemu, autorom książek, zlikwidujemy producentów pomocy naukowych i „wszyscy” będą zadowoleni, uczniowie, którzy nie muszą wiedzieć, tylko umieć krzyżyki stawiać, nauczyciele, którzy mogą mechanicznie sprawdzać owe krzyżyki, zamiast zastanawiać się, co małemu Jasiowi w głowie kołacze, rodzice, którzy już nie muszą tłumaczyć dzieciarni procedur znajdowania najmniejszego wspólnego dzielnika.

Mamy niechęć do zrobienia czegokolwiek dla wspólnego dobra, pod hasłem, że to państwowe, a państwowe czerwone, czyli be, czy w jakimkolwiek kolorze, byle było be i był pretekst. W istocie chodzi o to, by coś, co sami w części powinniśmy zrobić, zwalić na innych, choćby to były i nasze własne wnuki. Dziury się na drodze zrobiły, tory by trza podsypać... Kolej się zlikwiduje, na drodze postawi ograniczenie prędkości. "Szlachta na koń wsiedzie, my z synowcem na przedzie, i jakoś to będzie".

Nie globalna wioska, ale wiocha, do której aby dojechać, trzy razy z głównej drogi na coraz podrzędniejszą trzeba skręcać. Najlepszy spec okazuje się na poziomie złotej rączki – zaś rozumienie świata zdroworozsądkowe, takie którego moim krajanom już nie przypisuję, bo bym ich poobrażał.